



KARKONOSKA PAŃSTWOWA  
SZKOŁA WYŻSZA  
W JELENIJ GÓRZE

ISBN  
978-83-61955-41-2

# JANINA PEIKERT

NA SZLAKACH MATKI ZIEMI



**Janina Peikert**

**Na Szlakach  
Matki Ziemi**



Jelenia Góra 2015

RADA WYDAWNICZA  
KARKONOSKIEJ PAŃSTWOWEJ SZKOŁY WYŻSZEJ

Tomasz Winnicki (przewodniczący), Grażyna Baran, Izabella Błachno,  
Barbara Mączka, Kazimierz Stąpór, Józef Zaprucki

RECENZENCI

Henryk Gradkowski  
Janina Hobgarska

PROJEKT OKŁADKI

Janina Peikert

PRZYGOTOWANIE DO DRUKU

Barbara Mączka

DRUK I OPRAWA

ESUS Agencja Reklamowo-Wydawnicza  
ul. Południowa 54  
62-064 Plewiska

WYDAWCA

Karkonoska Państwowa Szkoła Wyższa  
w Jeleniej Górze  
ul. Lwówecka 18, 58-503 Jelenia Góra

ISBN 978-83-61955-41-2

Niniejsze wydawnictwo można nabyć w Bibliotece i Centrum Informacji  
Naukowej Karkonoskiej Państwowej Szkoły Wyższej w Jeleniej Górze,  
ul. Lwówecka 18, tel. 75 645 33 52

## Część pierwsza

# Spotkania z fotografią w tle

Arabskie przysłowie mówi: „Jedno przypadkowe spotkanie warte jest więcej niż sto zaplanowanych”.

Jeśli spotkanie z drugim człowiekiem jest prawdziwym, istotnym, głębokim spotkaniem, to jest to sprawa bardzo osobista. Tak naprawdę odbywa się ono w nas. To, co pomiędzy, to tylko transmisja ludzkich uczuć i wartości różnymi kanałami, przekaz doświadczeń życiowych przetworzonych na cechy osobowości człowieka. Trudno zatem o spotkania pisać, bo to, co najważniejsze, pozostaje często niezdefiniowane w sposób formalny czy choćby pojęciowy, co więcej, jest bardzo trudne lub wręcz niemożliwe do wyrażenia. Jest to jednak obszar doznań niezwykle ważny, bo komunikujący się z głębokimi warstwami naszej duchowości. Tam one pozostają, tworząc kanwę i pewien rodzaj układu odniesienia dla postrzegania ludzi i świata. Ta część spotkania pozostaje więc poza przekazem nie tylko z powodu braku adekwatnych środków wyrazu, lecz także z wyboru. To jest nasz skarb i tylko nasz.

Spotkania są zatem swoistą szkołą odczuć i porozumienia z *Innym*; potrzebują czasu, zatrzymania się. Biegając przez codzienność, goniąc setki kolejnych częściowych celów, nie zauważamy naszego odcięcia się od nieznanego człowieka. To właśnie ta izolacja pozwala nam mówić o *Innym* „obcy”. Rodzina, bliscy, znajomi zastępują nam cały świat. Czy naprawdę mogą być wszystkim? Czy tak pojmując i realizując rzeczywistość możemy poszerzać horyzonty widzenia i rozumienia świata?

## Sadhu

Samolot wylądował w Katmandu. Byliśmy zmęczeni dwudniowym zwiedzaniem stolicy Indii i przelotem. Kiedy wysnuliśmy się z portu lotniczego, momentalnie dopadły nas upał i chmara obnośnych sprzedawców w różnym wieku, oferujących mapy, widokówki, napoje, breloczki, bransoletki i nie wiadomo co jeszcze. Trudno było przejść przez ten gęszcz ludzi, wrzaskliwie reklamujących swój towar. Ze sto pięćdziesiąt metrów brnęliśmy, nachalnie atakowani, ciągnąc zygzakiem bagaże, nim dotarliśmy na parking autobusów, gdzie nie mieli do nas dostępu.

Odetchnęliśmy króciutką chwilę i zaraz zjawili się przedstawiciele biur oferujących przeloty nad Himalajami aż po Mont Everest. Brzmiało pięknie, ale cena była wysoka, a po przemnożeniu przez dwa, bardzo duża. Nie byliśmy przygotowani ani na przelot, ani na taki wydatek, zwłaszcza w czwartym dniu wycieczki, która miała trwać jeszcze niemal dwa tygodnie. Stres. Jeśli wydamy teraz pieniądze, nie wiadomo z czego przyjdzie nam później zrezygnować, na co zabraknie. Zaczynamy rozważać za i przeciw.

W tym właśnie momencie podszedł z boku mężczyzna, ubrany w żółte szaty, z wymalowanym na czole znakiem, łagodnie uśmiechnięty, z kijem w rękę i menażką w drugiej. Stał spokojnie w pewnej odległości i powiedział:

– *I am sadhu. Photo one dolar.*

Jeszcze ten. Dali by nam chwilę spokoju na zebranie myśli i znalezienie dobrego rozwiązania – pomyślałam – i rzuciwszy krótkie spojrzenie, zapewne niechętnie, machnęłam tylko ręką, co miało znaczyć: daj spokój człowieku. Kątem oka zauważyłam, że ten niezbyt przyjazny gest nie zmienił jego wyrazu twarzy.

Analiza finansowa trwała z dziesięć minut. Mieliśmy ogromną ochotę na lot i świadomość, że jeśli nie teraz to chyba nigdy. Już myśleliśmy z czego możemy zrezygnować, gdzie można wydatki uszczuplić. Dodawanie, odejmowanie, rozważanie: wystarczy – nie wystarczy. Ostatecznie zapadła decyzja: lecimy. Uf, teraz można odetchnąć spokojniej.

Ciche – *I am sadhu. Photo one dolar* – dobiegło z boku.

Popatrzyłam mniej niechętnie, ale bez zainteresowania. Stał jak przedtem, spokojnie, bez cienia zniecierpliwienia, życzliwie uśmiechnięty.

Emocje opadały i po jakichś czterech minutach znów spojrzałam na mężczyznę. Tym razem wydał mi się interesujący. Spojrzałam na niego przyjaźnie i lekko uśmiechnęłam się. W odpowiedzi wykonał

niewielki ruch menażką, który zapewne znaczył – żyję z tego, co uzbieram, dasz coś?

Podeszłam trzy kroki bliżej. Nasze oczy spotkały się. Starszy mężczyzna emanował spokojem, życzliwością i przyjaźnią. Uśmiechnęłam się serdecznie. Już nie musiał powtarzać, kim jest. To był prawdziwy sadhu. Powoli sięgnęłam po aparat. Stał jak dotąd z tym samym spokojem i życzliwością na twarzy. Wycelowałam obiektyw. Nie pozował, po prostu taki był. Wyjęty z kieszeni dolar nie wywołał w jego oczach błysku łączącej radości czy pożądania. Przyjął go naturalnie, bez unizonej wdzięczności, jak dar od przyjaciela, bez tryumfального wzmocnienia uśmiechu, że jednak dała. Pieniądz przemieścił się od człowieka, który mógł go wydać, do człowieka, który go potrzebował, by egzystować, tj. w bardziej właściwe miejsce.

Stałam jeszcze chwilę. Patrzyliśmy na siebie, ciesząc się spotkaniem. Nie rozmawialiśmy. Słowa nie były potrzebne. Stanowiłyby raczej zgrzyt w tym wspólnym byciu razem.

Tę lekcję stabilnej jasności zabrałam ze sobą. Obym jej nie zapomniała i oby mi się przypominała we właściwej chwili!



## Młodzian spoglądający w bok

W czasie podróży do Indii, spacerując jedną z ulic Dżajpuru, znajomi weszli do sklepu z ciuszkami po jakieś bluzki czy spódniczki dla wnucząt. Od razu zajął się nimi sam właściciel. Pracownikowi nie wypadało próżnować, więc zajął się mną. Gestem i słowem zapraszał uprzejmie do kramu.

– Dziękuję, nie – ucięłam krótko, tylko na moment odrywając oczy od wspaniałego Pałacu Wiatrów, stojącego naprzeciwko. Taka odpowiedź nie zniechęciła oczywiście indyjskiego kupca, choć wyraźnie widział, że nie zamierzałam niczego kupić.

– Proszę zajrzeć, na pewno pani coś sprzedam – powiedział pewny siebie.

Uśmiechnęłam się, bo nie lubię kupować ubrań, poza tym na ulicy mogłam obserwować piękną architekturę, ludzi, zwyczaje, biegnące wartko w tym miejscu życie, oddychać egzotyką, chłonać Indie.

– Możemy się założyć, że coś pani sprzedam – kontynuował sprzedawca.

Skwitowałam to zaciekawionym spojrzeniem.

– Jeżeli pani coś sprzedam, to da mi pani jakiś drobiazg – nie dawał za wygraną młody człowiek.

Patrzyłam coraz bardziej rozbawiona. To też klimat Indii – pomyślałam.

– Cokolwiek, jakąś monetę, breloczek, chusteczkę, cokolwiek – ciągnął dalej.

Błysk zainteresowania w moich oczach zdradził, że połknęłam haczyk, a przynajmniej jego połowę i wejdę do sklepu.

Tam zaoferował mi jedwabny szal. Dotknęłam go, skonstatowałam błyskawicznie: wiskoza i zdecydowanie odsunęłam. Wyjął kolejny – wełna z bawoła. Znów przesunęłam tkaninę między palcami i powiedziałam krótko, patrząc w oczy sprzedawcy – akryl.

– Pani się na tym zna? – zrobił ogromne oczy. Było to zresztą takie pytanie oznajmujące. Poczuli się nieswojo, że cudzoziemka tak bezpardonowo rozprawia się z jego handlowym kitem, który turyści na ogół „łykają” dość gładko, zwłaszcza ci bardziej zmęczeni życiem lub tylko podróżą, oszołomieni niezwykłością tego kraju.

– Tak, znam chemię – odpowiedziałam, a moje oczy z pewnością stwierdzały: „Nie dam się naciągnąć. A nie mówiłam, że nic nie kupię?”

Spasował.

Moją uwagę przykuła na moment patchworkowa, wielobarwna, jaskrawa, a na dodatek mieniąca się cekinami, bawełniana makata. Natychmiast po nią sięgnął i podał zachwalając.



Była to niewątpliwie ręczna praca. Wnikliwie studiowałam sposób jej wykonania. Jakość była tandetna, ale plastycznie świetnie pasowała do indyjskich wnętrz, miała urok orientu.

– Ładna – powiedziałam.

– Niezwykła – dodał sprzedawca i zaczął wymieniać kolejne, coraz to niższe ceny, targując się sam ze sobą.

– Podoba mi się, ale nie kupię – stwierdziłam, dodając znieczulający uśmiech.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Przecież proponuję dobrą cenę.

– Tak, niestety nie pasuje do mojego pokoju w Polsce. Trzymałabym ją zamkniętą w szafie, a to nie jest właściwe miejsce dla tej pięknej makaty. Ona powinna być podziwiana.

Spojrzał zrezygnowany i choć było mu całkiem obojętne, co zrobię z zakupionym towarem, prostota i siła tego argumentu była trudna do obalenia.

Wyszliśmy przed sklep. Znów przyglądałam się biegowi zdarzeń na ulicy. Pomyślałam, że z przyjemnością zrobiłabym mu zdjęcie.

– Skoro nic nie kupiłam, to właściwie ja powinnam dostać jakiś drobiazg – zaczęłam.

– Takiej umowy nie było. – Roześmiał się.

– Nie było – potwierdziłam – ale to wynika z logiki.

– Chętnie, ale tu niestety nic nie należy do mnie, ja tu tylko pracuję – powiedział z uśmiechem.

– Domyślam się, ale mimo wszystko możesz mi coś podarować – trwałam przy swoim.

Tym razem to on był zaniepokojony.

– Chciałabym ci zrobić zdjęcie, takie na pamiątkę naszej miłej rozmowy. Fotografuję sympatycznych ludzi w wielu krajach, do których podróżuję.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy wyrazić zgodę. Nie lubił się fotografować. Nie ponaglałam. Czekałam spokojnie, życzliwie się uśmiechając. Nauka sadhu nie poszła w las.

– Dobrze, OK – zdecydował się i przyjął nieco hieratyczną pozę, która całkowicie nie przystawała do obrazu chłopaka sprzed kilku chwil.

Musiałam coś zrobić, by rozbroić tę sztywność.

– Ojej, jak to trzeba ustawić aparat? – Zaczęłam zmieniać nastawy w tę i z powrotem. – Może coś wyjdzie.

Dziwne, chaotyczne manipulacje trwały jeszcze chwilę. Moje kłopoty z urządzeniem technicznym sprawiły, że się rozluźnił i uśmiechnął.

Przyłożyłam aparat do oka. Nie chciał jednak spojrzeć prosto w obiektyw.



## Sikhowie

Spotkaliśmy się ot tak, gdzieś w świecie przelotem. Dosłownie przelotem, bo na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Spory port lotniczy z niewielkim pomieszczeniem, w którym ustawione były siedziska dla podróżnych. Większość osób, nie znajdując miejsca do siedzenia, wałęsała się po sklepach wolnocłowych „duty free”, oglądając te same, co na każdym lotnisku, kosmetyki, alkohole, akcesoria podróży i inne w każdym miejscu świata pamiątki regionalne, które, jak zwykle, były zbyt drogie. Nieliczni zmęczeni podróżni przysiadali na schodach. My też snuliśmy się po porcie, po schodach w górę i w dół, w lewo i w prawo, aż po odlocie samolotu do Frankfurtu upolowaliśmy fotele. Nareszcie ulga, bolące nogi można było odciążyć. Po chwili odpoczynku był czas, by rozejrzeć się dookoła.

Dwa rzędy dalej siedziało trzech sikhów w różnym wieku. Najstarszy miał na głowie biały turban, średni wiekiem oliwkowy, a najmłodszy, mający zapewne trzydzieści kilka lat – w kolorze bordo. Stanowili rzucającą się w oczy, sympatyczną grupę, w której co jakiś czas podejmowano dialog. Najstarszy z nich mimo lat miał bardzo żywo reagujące, wesole oczy. Wydawał się bardzo miły, a w grupie cieszył się autorytetem. Zapragnęłam zrobić mu zdjęcie do mojej kolekcji ludzi wspaniałych. Tylko jak tego dokonać? Siedząc obok pilotki zastanawiałam się na głos. Ta młoda dziewczyna nie widziała żadnego problemu.

– Najlepiej po prostu: podejść, porozmawiać i zapytać – poradziła. Podpowiedziała słowa indyjskiego i sikhijskiego powitania.

– To będzie dobry początek, a dalej to już pani sprawa – powiedziała rzeczowo.

W podręcznym notesiku zapisałam powitania, a potem przez kilka minut uczyłam się ich na pamięć. Powtarzając w myślach te pozdrowienia jak mantrę, zbierałam w sobie odwagę. Wreszcie przekonała mnie, jak zwykle, logika; jeśli nie spróbuję, to na pewno fotografii nie zrobię, a jeśli zaryzykuję i podejdem, to być może zamiar się powiedzie. Jeżeli odmówią, to też nic się nie stanie. Wstałam i zrobiłam kilka kroków, pokonując resztki wewnętrznego oporu.

– *Namaste! Sasrika!* – pozdrowiłam ich, składając lekko ręce i wykonując skłon głowy.

Byli zaskoczeni, ale zaraz odpowiedzieli z uśmiechem. Zdziwiło ich zwłaszcza sikhijskie pozdrowienie.

– Bardzo lubię Indie, już kiedyś byłam w Indiach.

– Kiedy? – zapytali.

Byłam przygotowana na to pytanie.

– Dwadzieścia dwa lata temu – odpowiedziałam bez zbędnych obliczeń.

– I co pani zwiedziła?

W odpowiedzi wymieniłam dość wartko nazwy siedmiu miast, których rozrzut na mapie wynosił 1500 km.

– O, to wiele pani widziała – wyrazili uznanie. – A skąd pani pochodzi?

– Z Polski.

– To ciekawy kraj, ale my jeszcze w Polsce nie byliśmy. Chętnie byśmy tam pojechali.

– Zapraszam!

Dalej rozmowa potoczyła się na tyle gładko, na ile pozwalał mój „gimnastyczny” angielski i wreszcie zapytałam, czy mogę zrobić zdjęcie. Spojrzeli na mój aparat – ot taki zwykły. Nie budził obaw. Propozycja, choć nieoczekiwana, po rozmowie nie była zbyt zaskakująca. Pytanie skierowałam oczywiście do mężczyzny w białym turbanie. Najmłodszego z nich bardzo rozbawiło, że najstarszy „wpadł mi w oko”, ale tak jest, że znacznie bardziej fascynują mnie twarze dojrzałych ludzi. To one są pełne wyrazu, a każda zmarszczka skrywa długą historię radości, uśmiechu, rozczarowań, rozpacz, zdumienia, smutku, melancholii, wdzięczności i bardzo licznych innych emocji w rozmaitych odcieniach, jakie są udziałem każdego człowieka o długim życiorysie.

– *Beautiful face* – powiedziała patrząc na seniora.

Nie wiem, kim był, nie pytałam. Dla mnie był człowiekiem o otwartym spojrzeniu, sympatycznie rozbrojonym zaistniałą sytuacją. Utwierdzany przez juniora w swojej niepewnej decyzji wyraził zgodę na zdjęcie. Nie wypadało mi sfotografować tylko jego, więc i pozostałych poprosiłam o przyzwolenie. Średni wiekiem powiedział:

– Proszę bardzo, nie jestem terrorystą – i roześmiał się.

Wybierałam kadr, przymierzając wizjer na różne sposoby, wierząc się na niewielkiej przestrzeni między siedziskami tak długo, aż sztywny wyraz twarzy poniżej oliwkowego turbanu ustąpił miejsce naturalności.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się promiennie.

Junior z niecierpliwością czekał na swoją kolej. Migawka strzeliła raz jeszcze. Podziękowałam, również gestem i skinieniem głowy. Uśmiechnięci odprowadzali mnie na miejsce życzliwym spojrzeniem.



## Peruviański Indianin

Po kilku godzinach jazdy przez pustynię autobus skręcił z głównej drogi i po niedługim czasie zatrzymał się przy małym placu okolonym nieco koślawym chodnikiem i dość rachitycznym rabatami. Po wyjściu z pojazdu skierowaliśmy kroki ku przesmykowi między budynkiem hotelu a opadającą skarpą, przy której przycupnął parterowy sklepik. Po przejściu krótkiego odcinka ujrzeliśmy zaskakujący widok.

Między lejąco schodzącymi w dół gładkimi, dość stromymi zboczami wzgórz żółtego piachu, położone było niewielkie owalne jezioro. Na pustynnych zboczach niemal 200-metrowych wypiętrzeń nie było choćby najmniejszego chwaścika, jezioro zaś otaczał kilkudziesięciometrowy pierścień bujnej zieleni, palm, krzewów i kwiatów. Widok był tak niezwykle, nieoczekiwany, że wydawał się nierealny, graniczący z omamem wzrokowym. Na wszelki wypadek dyskretnie uszczypnęłam się w rękę. Zabolalo, więc to jednak rzeczywistość.

Nieopodal, w cieniu palm, na prymitywnym stoliku młody peruviański Indianin o delikatnej, pociągłej twarzy oferował wisiorki i naszyjniki z półszlachetnych i może jeszcze mniej szlachetnych, ale pięknych kamieni w kolorowych, kordowych oplotach. Każdy był inny, jedyny w swoim rodzaju, z bardzo starannie dobraną kolorystyką i formą splotu. Ten, który wpadł mi w oko, kupił turysta stojący już wcześniej przy straganie.

Nie noszę tego typu ozdób, ale z przyjemnością patrzyłam nieco z boku, kiedy sprzedawca prezentował je innym kupującym. Delikatnymi ruchami dotykał z miłością poszczególnych kamieni. Były naprawdę ładne, a w rękach sprzedawcy nabierały blasku, życia i wartości. On je naprawdę kochał. Dla niego wszystkie kamienie miały duszę. Czuło się, że każdy naszyjnik wykonany był z ogromną pasją i umiłowaniem.

Odwrociłam się i napawałam się pięknym, ciągle dla mnie mało realnym widokiem. Poszłam ułożoną z kamieni dróżką w kierunku przystani rowerów wodnych i łódek. Prawdę mówiąc w tym pejzażu były one jakimś nieporozumieniem, rekwytem niewłaściwie dobranym. Rowery wodne na pustyni – absurd. Po drodze natknęłam się na niewielką zdumiewającą rzeźbę. Na cokolicu z kamieni stała odlana z brązu syrenka. Syrenka? Na pustyni? Pomyślałam, że to już chyba przesada. Żar lejący się z nieba zawrócił mnie do zacienionego miejsca, gdzie widok był najładniejszy. Kiedy tam dotarłam, zauważyłam, że nie ma nikogo z naszej grupy. Zostałam sama.

Rozglądałam się dookoła, szukając jakiejś wskazówki, gdzie mogli pójść współtowarzysze podróży i wtedy, odłożywszy wyplatanie kolejnego naszyjnika, podszedł do mnie sprzedawca wisiorków.

– Wszyscy poszli się napić do hotelu – powiedział, a widząc, że nie skorzystałam z tej informacji i nie ruszyłam we wskazanym kierunku, dodał pytanie – Nie idzie pani na kawę?

– Nie – odpowiedziałam – chcę się nasycić tym niezwykłym widokiem. Drugi raz tu nie przyjadę, a on jest taki bajkowy, jakby narysowany przez dzieci. To wprost niewiarygodne, żeby na pustyni było takie jeziorko.

Patrzył bezradnie na moją pełną niedowierzania twarz i wreszcie zdecydował się powiedzieć.

– To jest staw sztucznie nawadniany. O tam, zanurzone są dwie rury, które doprowadzają wodę.

Wyteńczyłam wzrok i uwagę. Rzeczywiście, jeśli się o nich wiedziało, można je było wypatrzyć. Jeziorko w tym momencie straciło trochę niezwykłości, ale zdecydowanie zyskało na realności. Wszystko wróciło do normy. Nagle prawdopodobieństwo istnienia takiego miejsca zyskało rację bytu, nie burząc fizycznej logiki i całościowych doświadczeń. Poza tym nie przestało być cudownie, urokliwie i miło.

Indianin zaczął opowiadać legendę o syrence, której rzeźbę spotkałam spacerując po oazie. Robił to z przejęciem. Patrzyłam na niego zafascynowana. Mówił trochę po angielsku, ale gdy brakowało mu słów, wtrącał hiszpańskie, nawet całe zdania. Wydawało mi się, że język, w którym mówi, nie ma znaczenia. Wszystko rozumiałam. Kiedy skończył, rozmawialiśmy jeszcze o kamieniach, wspólnie zachwycając się nimi. Chwilę potem zapytałam, czy mogę zrobić mu zdjęcie. Zgodził się od razu. Nie pozował. Był sobą. Był piękny.

Na pożegnanie podaliśmy sobie ręce i wtedy pochylił się lekko i bardzo delikatnie pocałował mnie tuż poniżej skroni. Spojrzałam na niego zdumiona.

– Od przyjaciela dla przyjaciela – wyjaśnił.

Wymieniliśmy jeszcze serdeczny uścisk dłoni, który zawierał najlepsze życzenia i radość, że gdzieś w tym wielkim świecie spotkaliśmy się.





## Amerikanin

Wynajętym samochodem przemierzaliśmy codziennie setki mil, zwiedzając Arizonę. Któregoś dnia trasa prowadziła autostradą przez rezerwat Indian Navaho. Autostrada w tym miejscu była zwyczajną dwupasmową drogą bez szerszego utwardzonego pobocza. Od asfaltowej drogi odchodziły z rzadka drogi szutrowe, prowadzące przez przerwę w prymitywnym płocie gdzieś w głąb rezerwatu. Po dziesiątkach mil z prawej strony szosy pojawił się spory brązowy barak z napisem „Market” i szutrowy parking. Zatrzymaliśmy tam samochód. Ciekawi byliśmy, co tu można kupić. Na pewno uda nam się uzupełnić zapas butelkowanej wody, bo w tym klimacie picie dużych ilości płynów jest koniecznością.

Trochę niepewni, nadrabiając spokojną miną, ruszyliśmy w kierunku baru. Żaden z kręcących się wokół sklepu Indian ubranych w dżinsy, kraciaste koszule i kowbojskie kapelusze nie zareagował na ten manewr, więc weszliśmy do środka. Bez trudu znaleźliśmy wodę, resztę produktów spożywczych omieliśmy pośpiesznie wzrokiem, bo na półkach był ten sam towar, co wszędzie w Ameryce, tyle że w mniejszym wyborze. Pod szklaną ladą przy kasie znajdowała się mała półka z pamiątkami. Mężowi spodobał się indiański składany nóż za kilkanaście dolarów. Kiedy oglądał wybrane „cudo” i sprawdzał jego zalety: blokadę i rysunki na rękojeści, ja dyskretnie przyglądałam się starym Indiankom robiącym zakupy. Miały twarze ze szlachetnym, wiekowym reliefem, pięknie oprawione w srebro turkusowe brosze pod szyją i podobne klamry pasków w talii. Wreszcie dotknęliśmy wzrokiem autentyczności. Kobiety nie były sztafajem dla turystów. Z ich bezmimicznych twarzy spłynęło czasem spojrzenie ani przyjazne, ani wrogie, ani zaciekawione, ani obojętne, ot takie dla nieszkodliwych intruzów w małych ilościach. Krótko mówiąc, nie zachęcało do nawiązania kontaktu. Zdawało się mówić: kup, co potrzebujesz i jedź swoją drogą. Tak też zrobiliśmy.

Skończywszy zakupy, dość szybkim krokiem przeszliśmy przez pas rozprażonego żwiru i ruszyliśmy w dalszą drogę do Utah. Po kilku godzinach jazdy, w czasie której realizowaliśmy kolejne punkty planu zwiedzania, dotarliśmy do jednej z części Parku Narodowego Canyonlands o wdzięcznej nazwie Island in the Sky (Wyspa na niebie). Wiedziałam z przewodników, że aby mieć piękne widoki, należy być w tym miejscu rano czy do południa, ale nijak nie dało się tego zaplanować, nie wydłużając wyprawy o kolejny dzień. Trudno, skoro nie może być lepiej, musi być dobrze tak, jak da się zrealizować. I co? Pod dość ostre słońce charakterystyczne dla popołudniowych godzin, widok może był mniej wyrazisty, ale wcale nie mniej piękny. Co więcej, okazał się bardziej urzekający, odrobinę

niesamowity dzięki niespodziewanej niezwykłości. Patrzyliśmy olśnieni nie rozumiejąc, dlaczego przewodniki faworyzowały poranek. W takich momentach na twarzach pojawia się specyficzna promiennosc, uśmiech zachwycenia. Kilka minut po nas na punkt widokowy dotarł samotnie kolejny turysta. Z jego twarzy bił ten sam blask. Kiedy spotykają się spojrzenia osób oszołomionych zjawiskowością krajobrazu, momentalnie rodzi się uczucie wspólnoty przeżyć i chęć komunikacji. Tak było i tym razem.

– Cudownie, cudownie, cudownie – powtarzał nieznajomy.

– Tak – potwierdziłam cicho, bo w takiej scenerii słowa niczego nie dopełniają.

Potem trwaliśmy dalej w zapatrzeniu, aż do nasycenia się fantastycznym pejzażem.

Po jakimś czasie znów spojrzeliśmy na siebie. Teraz zbudziło się zainteresowanie, z kim złączył nas los, bratając zachwytem.

– Skąd jesteście? – zapytał mężczyzna.

– Z Polski – odpowiedź zabrzmiała dla niego egzotycznie.

– Ja jestem z Teksasu.

Dalej wymienialiśmy się informacjami turystycznymi o planach, trasach, noclegach, cenach, jak to na szlakach zazwyczaj bywa. Dziwiło go, że przylecieliśmy z tak daleka na niespełna cztery tygodnie i tylko po to, by zwiedzać. Na koniec zapytałam, czy mogę zrobić mu zdjęcie. Był nieco zaskoczony, ale zgodził się. Pospiesznie zaczął poprawiać włosy, całkiem niepotrzebnie i nie na wiele to się zdało, bo podmuchy wiatru robiły swoje. Zresztą włosy wcale nie były ważne, bo na twarzy miał ciągle promiennosc zachwyty.



## Jesteś bardzo stara

W programie tygodniowego safari po parkach narodowych Tanzanii i Kenii była wizyta w wiosce masajskiej. Ogólny wygląd takiej wioski mogliśmy już zaobserwować, przemierzając setki kilometrów stepów i sawanny. Wizyta jednak oznaczała wejście do środka, poza ogrodzenie z kolczastych gałęzi. Do wybranej osady, dość oddalonej od szlaków turystycznych, nie zdążyliśmy dojechać poprzedniego dnia, bo kierowca jednego z dżipów zablądził, a drugi po wielokroć łąpał gumę i musieliśmy zawrócić spory kawał drogi, by udzielić mu pomocy, oddając swoje koła zapasowe. Solidarność kierowców dżipów jest nie tylko tradycją, ale koniecznością i obowiązkiem. Na bezdrożu i bezludziu możesz liczyć tylko na kolegę. Tam nie istnieją numery serwisowe i pomoc drogowa.

Kiedy już chłopacy uporali się z problemami, ponownie ruszyliśmy przez pustynię. Tu po raz pierwszy w życiu zobaczyłam zjawisko fatamorgany. Na horyzoncie widzieliśmy jeziora, a na ich brzegu drzewa. Wierzyliśmy na słowo naszym doświadczoneym przewodnikom -tropicielom, że tam wody nie ma. Przychodziło nam to z łatwością, bo znacznie trudniej byłoby uwierzyć, że nieopodał spieczonej i w głębokie bruzdy spękanej od długotrwałej suszy ziemi jest tak obszerny akwen. Zresztą na dystansie kilku kilometrów to znikał, to pojawiał się. Najbardziej w tym zjawisku fascynował mnie fakt, że nieistniejące drzewa odbijały się w lustrze nieistniejącej wody. Niewiarygodne!

Zrobiło się już dość późno, więc gnaliśmy co sił w silnikach na miejsce noclegu, bo ciemność przychodzi tu nagle.

Rano pobudka po piątej, ponieważ tylko o świcie można obserwować szczyt Kilimandżaro; później chowa się on w chmurach. Śniadanie i znów wsiadamy do naszych wiernych dżipów. Po trzech kwadransach dojechalśmy do wioski Masajów. Leżała zbyt blisko, by cywilizacja nie dostała się tam szerokim frontem. Za wstęp do wioski, wiadomo, trzeba sporo zapłacić. Ciekawość kosztuje.

Staliśmy na zewnątrz wioski. Po niedługim czasie rozpoczął się tradycyjny taniec powitalny i śpiewy. W barwnym korowodzie idą niemal wszyscy jej mieszkańcy, którzy nie wypasają właśnie stada krów na odległych, nieraz o dziesiątki kilometrów, pastwiskach. Mężczyźni, znający lepiej wartość dolarów, robili to z powagą i zaangażowaniem. Kobiety idące za nimi traktowały to raczej jako ludową maskaradę i niepotrzebny dodatkowy obowiązek, a także pewną atrakcję, bo tego czy tamtego turystę pokazywały sobie palcem, komentując i śmiejąc się. Widząc to, jeden ze zniecierpliwionych Masajów podszedł do nich i krótkim zdaniem przywołał młódki do porządku. Potem jeszcze rytualne skoki masajskich wojowników i weszliśmy do wioski.

Tu każdy mógł się rozglądać i fotografować według swojego wyboru, każdy też miał jakieś preferencje, więc nasza gromadka rozeszła się w różne strony. Wśród grupki kobiet, której większość stanowiły młode matki z niemowlakami na ręku, uwagę zwracała nieco starsza kobieta o szlachetnej urodzie. W świetle niezbyt wysoko jeszcze stojącego słońca jej wyraziste rysy i wydatne usta nadawały jej dostojeństwa. Patrząc na nią z podziwem powiedziałam na głos:

– Piękna kobieta.

Jedna z młodych mam, znająca trochę język angielski, przetłumaczyła jej moje słowa. Głęboko w oczach kobiety zatańczyły małe ogniki radości. Przez chwilę porozumiewałyśmy się oczami. Wreszcie przyłożyłam do oka aparat i zrobiłam jej zdjęcie, jedno jedyne – świadectwo naszego spotkania.

Po chwili zapytałam młodą dziewczynę, ile ta kobieta ma lat.

– Czterdzieści – odrzekła, a raczej oszacowała moja rozmówczyni.

– A ile lat liczy najstarsza kobieta w wiosce? – zagadnęłam.

– Siedemdziesiąt – odpowiedziała dziewczyna i zaraz dodała – ale nie ma jej tutaj. Poszła z pasącymi bydło.

Pokiwałam głową, że rozumiem i wtedy dziewczyna przyglądając mi się uważnie spytała.

– A ile ty masz lat?

Przyznałam się rzetelnie. Patrzyła na mnie przez chwilę jeszcze uważniej, badawczo, jakby się jej coś nie zgadzało i kiwając głową, powiedziała coraz to bardziej obniżając głos:

– To ty już jesteś bardzo stara.

Takie słowa usłyszałam po raz pierwszy w życiu. W tym momencie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zaprzeczyć, czy się zgodzić? Błyskawiczna analiza sytuacji kazała mi przytaknąć. Nie mogę przecież wywracać jej świata do góry nogami.

– Tak, jestem bardzo stara – potwierdziłam ze spokojem.

Wewnętrznie byłam tym trochę rozbawiona i doszłam do wniosku, że jeśli powiem, iż jestem młoda, stara, czy bardzo stara, nie ma to najmniejszego znaczenia. To tylko taki szufladkowy kwantyfikatory obiegowych opinii. Tak naprawdę istotne jest to, co robię, jak widzę świat, jak żyję, a liczba lat ma jedynie znaczenie statystyczne.

Stałam nadal przy tej grupce kobiet i przyglądałam się pucułowatym maluchom, które mamy starały się szczerze otulić masajskimi chustami, by turyści nie zauważyli kolorowych dresików, jakie miały pod spodem. Mówiłam coś do mam, coś do dzieciaczków i nagle usłyszałam:

– Jesteś szczęśliwa? – zapytała moja rozmówczyni

– Tak – odpowiedziałam, uśmiechając się promiennie.

– To dobrze. Masaje są szczęśliwi – stwierdziła.

W jej oczach nie było w tej chwili błysków szczęścia, bo na twarzy wciąż gościło zdumienie i ciekawość, jak może wyglądać szczęście takich jak ja ludzi w dalekim, nieznanym miejscu na ziemi.



## Ogrodnik

Kiedy dotarliśmy do kompleksu Taj Mahal, było już popołudnie. Dobra pora na zwiedzanie tego obiektu, bo słońce nie pali już tak niemiłosiernie, a tam trzeba przejść kilkaset metrów od bramy wejściowej do mauzoleum w pełnym słońcu, bez odrobiny cienia. Na dodatek białe marmury w zachodzącym słońcu nabierają odcieni ciepłego różu i warto na ten moment poczekać.

Taj Mahal jest fenomenem – rzeczywistość nie tylko wytrzymuje konfrontację z albumowymi zdjęciami, „prześlicznionymi” pocztówkami i największymi zachwytemi, ale jeszcze je potęguje. Ma bowiem ta budowla niezwykle trafnie dobrane proporcje i pomimo ogromnych rozmiarów robi wrażenie lekkiej, ulotnej. Bez trudu można sobie wyobrazić, że lada moment uniesie się w powietrze i odpłynie, delikatnie falując, jak latający dywan. Patrząc na nią, odczuwa się jakby niewielki zawrót głowy, a wykonywane fotografie nierzadko są przekręcone o całkiem pokaźny kąt. Przekonałam się o tym, kiedy po pierwszej tam bytności dałam zdjęcia do wywołania. Oglądając je, nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie zauważyłam skręcenia aparatu. Kiedy dotarłam do zdjęcia zrobionego mi przez przygodną osobę na tle mauzoleum, zobaczyłam, że ta fotografia była „zakręcona” jeszcze bardziej niż moje ujęcia! A więc nie tylko mną zawirowało.

Teraz, skoro udało mi się tu przybyć ponownie, wiedziałam, że muszę skoncentrować uwagę właśnie na ustawieniu kadru. Przykładałam się bardzo sumiennie. W pewnym momencie dotarło do mnie wielokrotnie powtarzane słowo – madam. Nieopodal stał hindus z nagim do pasa torsem

Szczupły mężczyzna w sile wieku gestykulował wyraziście, mówił i pokazywał miejsce, skąd zrobię dobre zdjęcie. Dziwne było, dlaczego właśnie mnie instruował, skoro w tej właśnie chwili, w tym punkcie znajdowało się chyba z sześćdziesiąt osób i niemal każda miała aparat fotograficzny. Pomógł przedostać się do tego miejsca, bo było dość obleżone. Dlaczego? Może widząc, że jestem pochłonięta fotografowaniem, chciał mi ułatwić drogę? Kiedy wreszcie znalazłam się na właściwej pozycji, czekał spokojnie, aż zrobię fotografię, te „obowiązkowe” w osi budynku, z lustrzanym odbiciem w sadzawkach długiej fontanny. Ten właśnie widok robi tak kolosalne wrażenie, iż nikt stojąc tu, nie ma najmniejszych wątpliwości, że patrzy na jeden z siedmiu cudów świata nowożytnego. Samozwąnczy przewodnik obserwował, jak utrwalam powszechnie uznane wspaniałości i był wyraźnie zadowolony. Zaraz potem przywołał mnie gestem i zaproponował wykonanie fotografii na tle mauzoleum w ten sposób, abym stojąc „trzymała” wierzchołek kopuły w palcach. Wyciągnął rękę po

aparatu. Oddać mu mój aparat? O nie, nie. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak niknie z nim w tłumie zwiedzających.

– Nie, nie, dziękuję – powiedziałam szybko i ruszyłam sprężystym krokiem w przeciwną stronę. Szedł za mną. Po dłuższej chwili odwróciłam się, zatrzymałam na moment i zawołałam – Pamiętajkowe zdjęcie! – i niemal w tym samym momencie strzeliła migawka.

Po kilkunastu pospiesznych krokach spotkałam osoby z naszej grupy i poczułam się bezpieczniej, a na dodatek uwolniłam się od nieproszonego pomocnika. Szliśmy dalej parkową aleją wzdłuż szeregu niewielkich fontann, nieczynnych zresztą w tym momencie, ale widok długiego prostokąta lustra wody i tak chłodził, być może tylko psychicznie, ale dobre i to. Wszedłszy po schodach na rozległy taras, zajęliśmy miejsce w długiej kolejce oczekujących na wejście do wnętrza. To dobry czas, by poczuć ogrom tej budowli i obejrzeć z bliska detale dekoracji ścian – inkrustacje kamieniami półszlachetnymi w białym marmurze. Kolejka posuwała się dość sprawnie i niebawem znaleźliśmy się w środku.

Gdy ponownie wyszłam na zewnątrz, słońce było już dość nisko. Przeprosiłam znajomych i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku schodów. Nie było czasu do stracenia. Zbiegłam po schodach a tam... czekał na mnie mój przewodnik. O nie! Jak on mnie wypatrzył wśród tysiąca zwiedzających!? Stał tak, że nie można go było ominąć.

– Spieszę się, bo muszę zrobić zdjęcia w zachodzącym słońcu – powiedziałam przechodząc obok niego.

– Pokażę, skąd można zrobić ładne – odrzekł.

Tym razem nie była to nachalność, a raczej niepewna propozycja.

– Proszę iść za mną – dodał.

– Jest bardzo mało czasu – stwierdziłam pełnym obawy głosem.

– Zdążymy – zapewnił i ruszył pospiesznie w zupełnie nieuczęszczaną część ogrodu.

Ukradkiem obejrzał się i gdy stwierdził, że nadażam, przyspieszył jeszcze bardziej. Prawie biegliśmy. Nagle skoczył w bok, ja za nim. Minął kilka krzaków i zatrzymując się na skraju trawnika, powiedział:

– Tu – i jedną ręką wskazał miejsce, a potem drugą kierunek fotografowania, jakby nie było to absolutnie jasne.

Stał nieco z boku i kiedy usłyszał chrzęst migawki i moje OK!, błyskawicznie ruszył dalej. Spiesznie podążałam za nim. Po kilkadziesiąt krokach znów się zatrzymał:

– Tu. – I ponownie wykonał ruch ręką.

„OK!” I znów bieg. Jeszcze kilkadziesiąt kroków.

– Tu – „OK.!”

Dalej nie było po co biec. Słońce zsunęło się za stojące za płotem ogrodu drzewa i żaden ciepły promień nie różowił już kopuł budowli. Ona sama jakby osunęła się w szarość.



– Zdażyliśmy – stwierdził z uśmiechem wyraźnie zadowolony z wypełnienia swojej misji.

– Tak – odparłam lekko zasapana. Zadowoleni, patrzyliśmy na siebie przyjaźnie.

– Skąd pan zna te miejsca? – spytałam z ciekawością, bo rzeczywiście były z nich inne ujęcia, niż na ogół przywożą turyści.

– Jestem tu ogrodnikiem i widzę, gdzie zawodowcy i filmowcy się ustawiają się z aparatami i kamerami.

Teraz prawie wszystko było jasne. Tylko dlaczego mną się zaopiekował? Nie spytałam. Jego spojrzenie co jakiś czas lądowało na moich blond lokach. To wyjaśniało resztę. Hinduski mają czarne, gładkie włosy, a ponadto w czasach totalnej mody na proste włosy, pierścionkowe loki, do tego koloru blond rzucają się w oczy.

Zapytał, skąd jestem. Nie bardzo wiedział, gdzie to „Poland” leży, ale na pewno gdzieś daleko.

– Walesa, Papa – skojarzył poprawnie.

Dalej rozmawialiśmy krótko o naszych rodzinach, o życiu. Zapytał o drobne pieniądze. No tak, loki lokami, a żyć trzeba.

– Niestety, nie mam drobnych – stwierdziłam zgodnie z prawdą. Banknot, który miałam, w tym kontekście do drobnych już nie należał.

– Nie szkodzi – odparł, szybko pogodzony z moją odpowiedzią – nie musi być.

Ruszyliśmy ku wyjściu, Myślałam, co by mu dać, ale poza dwoma banknotami nie miałam nic innego.

Czy nie mogę się bez jednego z nich obejść? Przeliczyłam w myślach na złotówki. O rety, pewnie, co to za suma! Stałam, rozpięłam plecak i podałam mu złożony banknot. Przez dłuższy moment patrzył niepewnie, czy wziąć, czy wypada, bo przecież byliśmy już przyjaciółmi.

– Tak jest dobrze – powiedziałam z uśmiechem i zbliżyłam banknot do jego ręki.

Uśmiechnął się, podziękował. Był trochę onieśmielony. Rozstawaliśmy się machając serdecznie do siebie ręką. Jestem pewna, że gdyby nic nie otrzymał, pożegnanie byłoby równie ciepłe.



## Irina

Spotkałyśmy się na plaży, na Dominikanie. Młoda, sympatyczna, pełna radości życia kobieta zajmowała leżak pod jednym z parasoli. Uśmiechała się do wszystkich, do całego świata. Ja zajęłam inny, jeszcze wolny i przesunęłam go w cień, nieopodal. Poleżałam trochę i stwierdziłam, że pora się wykąpać. Zostawiłam ręcznik, inne plażowe manatki, a że wokół było pustawo, pomyślałam, iż dobrze byłoby, jeśli ktoś czasem rzuci okiem na pozostawione rzeczy. Podeszłam do nieznajomej i powiedziałam:

– Przepraszam – a widząc, że osoba nie rozumie tego słowa, spytałam po angielsku – W jakim języku możemy się porozumieć?

– Po rosyjsku – odpowiedziała bezpośrednio.

Prawdę mówiąc, takiej odpowiedzi się spodziewałam. Jej jasna cera i słowiańska uroda nie sugerowały, że usłyszę – w suahili lub keczua. Zaczęłam więc po rosyjsku.

– Proszę bardzo, jeśli pani sobie życzy.

– A pani co, mówi wszystkimi językami? – zrobiła wielkie oczy.

Rozbawiona jej reakcją, stwierdziłam – Nie, tylko czterema, ale zawsze jakiś się dopasuje. – Obie zaśmiałyśmy się serdecznie.

– Jeśli pani nie idzie się kąpać, proszę czasem rzucić okiem na ciuszki – poprosiłam.

– Dobrze. A skąd pani jest? – spytała z ciekawością.

– Z Polski.

– Tak właśnie myślałam.

– To znaczy, że pani świetnie myśli – odrzekłam.

Znów roześmiałyśmy się.

Na drugi dzień spotkałyśmy się w tym samym miejscu na plaży. Irina, bo byłyśmy już po imieniu, zajęła leżak i dla mnie.

– Nina, pojedziesz ze mną dziś popołudniu na Katuszę? – zagadnęła.

– Na jaką Katuszę? Co to jest? – zapytałam.

– A, to taki market. Dużo Rosjan tam kupuje i dlatego tak go nazwali.

– Daleko to jest?

– Nie, taksówka kosztuje 8 dolarów w jedną stronę.

– To pewnie kawałek drogi?

– Nie, tu cena taksówki jest umowna i ma luźny związek z odległością – wytłumaczyła.

– Dobrze, pojedziemy.

Umówiłyśmy się na godzinę piątą i wyruszyłyśmy zgodnie z planem. Na miejscu zapłaciłyśmy taksówkarzowi za kurs w jedną stronę i zapewniłyśmy, że będziemy z nim wracać.

Nasze zakupy nieco się przedłużyły, bo wybór pamiątek był duży, a rodzina Iriny spora, nie wspominając o licznym gronie przyjaciół oraz koleżanek i kolegów z pracy.

Kiedy opuściliśmy targ, okazało się, że nie ma naszej taksówki ani żadnej innej. Co robić? Jak wrócić do hotelu? Zaczynało zmierzchać, a tu mrok zapada szybko.

– Nie doczekał się nas – stwierdziła Irina i zaproponowała – Chodź, wracamy do sklepiku, gdzie ostatnio kupowałam, poprosimy sprzedawcę, żeby nam wezwał taksówkę.

Propozycja wydawała się sensowna i tak zrobiliśmy. Starszy mężczyzna wysłuchał naszej nieco nerwowej paplaniny. Nie widział żadnego problemu, by nam pomóc. Pewnie nie raz miał już takie klientki.

– Poczekajcie, zaraz wam coś zorganizuję – powiedział i ruszył w kierunku szosy.

Poszliśmy za nim. Dał znak, abyśmy się zatrzymały. Ręką do kogoś pomachał, coś krzyknął. Po chwili podjechał policyjny motocykl, ale jego kierowca był po cywilnemu.

– To jest mój przyjaciel. On odwiezie was do hotelu. – wyjaśnił i zaraz zapytał – Jaki hotel?

– Sirenis – wypaliłyśmy równocześnie, szczęśliwe, że jakoś wrócimy.

– Dobrze, to niedaleko. *No problem*. Siadajcie – zachęcał, ciesząc się, że sprawnie nam pomógł.

Napis „Policja” wzbudzał zaufanie. Irina obładowana siatkami usadowiła się na siodelku, starając się zająć jak najmniej miejsca, a ja za nią. Ponieważ obie nie jesteśmy najszczuplejsze, musiało to wyglądać nieco komicznie. Nieważne, bylebyśmy cało dotarły do celu. Ujechaliśmy z pół kilometra, gdy z naprzeciwka wyłonił się jakiś motor. Nasz kierowca zamigał światłami i zatrzymał się. Chwilę potem stanął obok nas drugi policyjny motocykl. Kierowca tamtego był w mundurze. Panowie zamienili dwa, trzy krótkie zdania i przybyły poprosił, bym przesiadła się na jego maszynę. Pagony z dużą ilością znaków i naszywek sugerowały jego oficerską rangę. Ruszył pierwszy. Wkrótce zrobiło się ciemno. Wtedy włączył „koguta”, bez sygnału dźwiękowego. Tak w blasku migocącego światła zajęchałyśmy pod hotel. Dyżurni boje hotelowi i przygodni goście patrzyli ciekawie, kogo to zgarnęła policja. My uprzejmie podziękowałyśmy naszym wybawcom, pożegnałyśmy się z nimi podaniem ręki i zadowolone z zakupów, z promiennymi uśmiechami na twarzach, poszłyśmy w kierunku campusu hotelowego. Tu nasze drogi rozchodziły się do różnych budynków.

– *Nam krupno pawieźło* – krótko skwitowała Irina. – *Do zawtra!*

– *Da* – przytaknęłam. – *Do zawtra!*



## My little, little son

Sal to niewielka wyspa należąca do Republiki Zielonego Przylądka. Samochodem objechaliśmy ją w kilka godzin, zwiedzając przy okazji wszystkie atrakcje turystyczne: bazaltową zatoczkę, miniaturowe wapienne kaniony, rybacką wioskę, niewielką pustynię, na której wobec sprzyjających warunków zobaczyliśmy fatamorganę. Największą atrakcją eskapady były jednak saliny, gdzie kąpaliśmy się w solankowym stawie. Jak w Morzu Martwym – nie można się było utopić.

Nasz hotel leżał niespełna półtora kilometra od niewielkiego miasteczka Santa Maria, na południowym wybrzeżu wyspy. Skrajem plaży prowadziła do niego droga spacerowa, wyłożona dekoracyjnie białymi, szarymi i czarnymi kamieniami. W przeciwną stronę ciągnęła się jeszcze jakieś pięćset metrów i urywała się nagle, zmuszając idących nią do zeskoku w piach. Właśnie na tej części „promenady” rozkładali codziennie swe prowizoryczne kramiki z pamiątkami dwaj czarnoskórzy, młodzi mężczyźni. Na kawałkach tkaniny układali miejscowe wyroby z drewna: rzeźby, maski, korale, wisiorki, bransoletki. Wszystkich spacerowiczów zachęcali do kupna.

Przechodząc po raz pierwszy, przyjrzałam się uważnie proponowanym towarom, bo przecież jakieś drobiazgi zawsze trzeba przywieźć. Jeden z mężczyzn, widząc nasze blade twarze, od razu zapytał, na jak długo przyjechaliśmy. Odpowiedź – na dwa tygodnie – dawała nadzieję na upolowanie klienta.

– Mamy jeszcze dużo czasu na zakupy – stwierdziłam.

Zgodził się od razu z moim zdaniem. Ruszyliśmy dalej na zaplanowany długi spacer. Pokonanie codziennie kilku kilometrów, to podczas wypoczynku nasz obowiązkowy punkt programu. Kiedy kolejnego dnia przechodziliśmy koło „sklepek” powitali nas radosnym „Hello”.

– Biznes? – zapytał większy ze sprzedawców, wskazując ręką swój towar.

– Nie dzisiaj – odrzekłam.

– Jutro?

– Być może – odpowiedziałam z lekkim uśmiechem.

– OK! – nie próbował dalszej namowy.

Nazajutrz rozmowa i spotkanie podczas spaceru wyglądało niemal identycznie, ale na powitanie usłyszeliśmy – *How are you?* – a uśmiechy się poszerzyły.

Następnego dnia mąż poczuł się kiepsko, postanowił pozostać w ogrodzie przyhotelowym. Wyglądało na to, że dopadł go jakiś wirus, albo się przeziębził. W obowiązkową turę, której dalsza i dłuższa część

biegła brzegiem oceanu w dość silnym wietrze, wyruszyłam więc sama. Sprzedawcy pamiątek i tego dnia byli już na posterunku.

– *How are you ?* – zagaił jeden z nich.

– W porządku – rzuciłam automatycznie i popatrzyłam na figurki.

– Biznes? – a nie otrzymawszy ode mnie odpowiedzi, bo wciąż przyglądałam się niewielkim rzeźbom, dokończył sam – Nie dzisiaj. Jutro.

– Być może – odezwałam się, a oczy niestety zdradziły, że któryś z drobiazgów wzbudził moje zainteresowanie, co nie uszło uwadze handlarza.

Przysunął się bliżej i półszepem wyznał – Podobasz mi się.

Zabrzmiało to dość dwuznacznie, a kiedy na niego spojrzałam, nabrałam pewności, że nie była to tylko manipulacja marketingowa. O, o, może pojawić się problem – w głowie zapaliła mi się lampka ostrzegawcza. Czarnoskóry, muskularny mężczyzna był o głowę wyższy ode mnie, a wokół oprócz jego kolegi nikogo, bo o tej porze wczasowicze dopiero szykowali się na plażę. Na dodatek z hotelowego ogrodu nie było widać kramików. Uznałam, że jak najszybciej trzeba ustawić właściwe relacje. Nie dałam jednak poznać po sobie, że zrobiło mi się nieswojo i patrząc z zaciekawieniem spytałam.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści cztery – usłyszałam w odpowiedzi.

Moją twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

– Naprawdę? Ojej, to znacznie mniej niż mój najmłodszy syn!

Z nieco udawanym zdziwieniem, powiedziałam radośnie:

– *You can be my little, little son!* – tak chciałam mu dać do zrozumienia znaczną różnicę lat, jaka nas dzieli.

Zwalisty Afrykańczyk usłyszawszy te słowa zaczął się śmiać serdecznie i głośno. Ja stałam spokojnie, patrząc na niego życzliwie. Kiedy wreszcie spazm śmiechu go opuścił, podszedł do mnie i powiedział czule.

– Oh, mama! – objął mnie i bardzo delikatnie przez moment przytulił.

Po jego twarzy było widać, że myślami jest gdzieś daleko, w Afryce, wśród bliskich, oczyma duszy widział swoją matkę, całkiem do mnie nie podobną. Zrobiło się miło, ciepło, przyjacielsko, a relacje płynnie, jakby baletowym ruchem, weszły na właściwe tory.

Kolega, świadek całego zajścia, patrzył nieco zdumiony i z pewną dozą zazdrości, że jego kompan dorobił się przyszywanej, co prawda bardzo grubymi nićmi i na krótko, białej mamy, ale na tej pustyni, daleko od domu dobre i to.

– A gdzie tata? – zainteresowało się moje czarne „maleństwo”.

– Źle się poczuł i nie mógł dzisiaj iść na spacer.

– Przekaż mu od nas pozdrowienia.

– Dzięki – kiwnęłam głową. – Idę. Jeszcze pięć kilometrów przede mną.

Kiedy kolejnego dnia znów samotnie szłam na spacer, uważnie patrząc pod nogi, bo kamienna droga nie była zbyt równa, z odległości jakichś sześćdziesięciu metrów usłyszałam gromki głos.

– *Hello, mama!*

Podniosłam głowę. Zwalista postać machała rękoma, a potem stał cały czas z szeroko, powitalnie rozpostartymi ramionami. Podeszłam z trzydzieści metrów bliżej i zawołałam:

– *Hello, my little, little son!*

Po chwili przywitaliśmy się uściskiem ręki.

– Jak tata? – wyraził szczerą troskę.

– Nie najlepiej.

– Chory?

– Bierze leki. Walczymy.

Przekazał pozdrowienia dla taty i życzył zdrowia. Podziękowałam, po czym ruszałam przed siebie.

Taka scenka powtarzała się każdego dnia, tyle że „*Hello, mama*” słyszałam z coraz większej odległości i musiałam wykonać znacznie więcej kroków, zanim odpowiedziałam, bo nie chciałam krzyżeć na cały głos. Doszło do tego, że wołał z odległości dwustu metrów, a nie mogąc się doczekać odzewu, sam sobie odpowiadał. A może mi podpowiadał? Będąc już bliżej niego, zawsze pozdrawiałam go radośnie – *Hello, my little, little son!*

Któregoś dnia spytałam chłopaków, czy mogę im zrobić zdjęcia. Bardzo się z tego ucieszyli.

– Dobrze, jak będzie mniej słońca przyjdę z aparatem.

– OK – padła formuła akceptacji.

Dwa dni później pogoda się popsowała. Słońce chwilami zasłaniały chmurki, wiał silny wiatr. Wzięłam aparat, dziesięć dolarów i poszłam robić biznes oraz zdjęcia.

Po tradycyjnym już powitaniu obejrzałam figurki i wybrałam jedną, średniej wielkości, przedstawiającą młodą matkę, niosącą na plecach dziecko w płachcie. Potężny sprzedawca był uradowany.

– Mama – mówił i pokazywał raz na figurkę, raz na mnie.

– Salim – wskazywał raz na siebie, bo tak miał na imię, raz na wyrzeźbione dziecko.

– Yes – przytaknęłam skwapliwie. Był w tym momencie rozbijającą dziecinny.

– Ile kosztuje? – spytałam.

– Specjalna cena dla mamy. Dziesięć dolarów.

Suma nie była wygórowana, a poza tym nie miałam najmniejszego zamiaru jej kwestionować, chociaż jest to niemal obowiązkowe w tutejszym zwyczaju, bo czy mamie wypadałoby targować się ze swoim małym synkiem?

– OK. Biorę.



Pieczołowicie zapakował w starą gazetę. Zapłaciłam. Zaraz potem schylił się, wziął niewielkiego drewnianego żółwia i podał mi.

– Souvenir dla mamy – i dodał – może być inny – wskazując na rząd podobnych.

Podniósł jeszcze dwa, żebym miała wybór.

Wzięłam innego, zrobionego bardziej wprawną ręką.

– Dla mamy tak – powiedział zadowolony.

– Dziękuję, bardzo miły prezent – odrzekłam z lekkim wzruszeniem i matczynym uśmiechem.

Zapakowałam „biznes” do plecaka i wyjęłam aparat.

Fotografowanie ciemnoskórego nie jest łatwe. Przy jego hebanowej skórze nawet słabsze słońce daje zbyt silne odbłaski. Zdecydowałam się na nieco żabią perspektywę, by maksymalnie ograniczyć bliki na jego twarzy. Patrzył z zaciekawieniem na mój fotograficzny „taniec” i z lekkim zniecierpliwieniem czekał, kiedy wreszcie strzeli migawka.

– Tobie też zrobię zdjęcie – zwróciłam się do kolegi Salima.

Ucieszył się, że choć nie został „usynowiony”, to nie jest pomijany. Z nim poszło mi szybko i celnie.

– Przyślesz nam zdjęcia?

– Jak? Dokąd? – dopytywałam, bo tacy ludzie na ogół nie mają stałego adresu, a czasem żadnego. W ciepłym klimacie „mieszkanie” jest często pojęciem daleko wykraczającym poza nasze europejskie wyobrażenia, choćby najbardziej skromne.

– Na e-maila. On ma dostęp do Internetu – pokazał na kolegę.

Nie ma problemu, prześlę. Proszę o adres.

Mieli kawałek starej gazety, ale czym tu pisać? Na szczęście w plecaku znalazłam długopis. Kolega zgrabnie i szybko się z tym uporał.

– Zatrzymaj ten długopis, mam drugi.

Drobny upominek ucieszył bardzo tę wciąż drugoplanową, sympatyczną postać. Pożegnaliśmy się i ruszyłam z powrotem do hotelu, bo pasat wiał wyjątkowo mocno i nasilał się z każdą minutą.





## Ciąg dalszy nastąpił

Ostatniego popołudnia wybrałam się do miasteczka Santa Maria po bułki na drogę powrotną. Lubię mieć jakieś zabezpieczenie na wypadek nieprzewidzianych opóźnień lotów czy przedłużających się o wiele godzin postojów w miejscach międzylądowania. Tego nauczyło mnie doświadczenie.

Na głównej ulicy odnalazłam piekarnię, kierując się zapachem świeżego pieczywa. Płacąc ostatnim banknotem miejscowej waluty, kupiłam gotowy pakiet pięciu bułek. Ekspedientka wydała resztę – garść monet. Popatrzyłam. Wydawało mi się bardzo mało. Położyłam pieniądze z powrotem na ladę i stwierdziłam z nutką pytania w głosie:

– Chyba się pani pomyliła.

– Nie. Tu ma pani dwa euro – odpowiedziała wskazując monetę.

To zmieniało postać rzeczy. Nie sądziłam, że wśród escudos i centavos mogą być także euro.

– Przepraszam. Dziękuję – skwapliwie przyjął tłumaczenie.

– *No problem* – odrzekła uśmiechnięta dziewczyna, która dobrze wiedziała, że turyści nie są przygotowani na resztę pieniędzy, wydawaną niekiedy w trzech różnych walutach łącznie i że biali nie potrafią tak szybko jak miejscowi tego przeliczyć.

W połowie drogi do hotelu, już na promenadzie spotkałam kolegę Salima.

– *Hello!* – pozdrowił cicho.

– *Hello!* Dlaczego jesteś taki smutny? – spytałam

– Ech, miałem dzisiaj kiepski dzień – skonstatował zrezygnowany.

– Co się stało? – zainteresowałam się.

– Nic nie sprzedałem – powiedział spuszcżając głowę.

W tym momencie wzrok jego padł na bułki i chłopak ukradkiem przełknął ślinę. Zrozumiałam go w oka mgnieniu. Był głodny i nie miał za co kupić czegokolwiek do jedzenia. W milczeniu patrzyliśmy przez chwilę na siebie. W tym czasie mój umysł pracował bardzo szybko. Poczęstować go bułką? To za mało, by zaspokoił głód. Oddać wszystkie? Już jest szaro i nie chce mi się iść z powrotem do piekarni, a potem wracać do hotelu w ciemności. Nagle przypomniało mi się, że w kieszeni mam dwa euro. Można kupić za nie więcej niż trzy paczki bułek. Sięgnęłam do kieszeni. Namacałam monetę, wyjęłam i trzymając w zamkniętej dłoni, nic nie mówiąc, wyciągnęłam rękę w kierunku młodzieńca. Spojrzał zdziwiony, nie rozumiejąc w pierwszej chwili o co chodzi. Spokojnie czekałam aż podstawił swoją dłoń. Potem puściłam monetę i zakryłam ją jego palcami. Kiedy zobaczył, co otrzymał, natychmiast zmienił mu się wyraz twarzy, a jego wyobraźnia wykreowała coś całkiem innego niż suche bułki.

– Masz więcej? – ożywił się.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam pozostałe monety.

– Te są niewiele warte – pokazałam. – Takie drobne zabieram do domu na pamiątkę. Mam już kolekcję z miejsc, gdzie byłam – objaśniłam.

Błyskawicznie oszacował, że zawartość dłoni nie poprawi zauważalnie jego stanu posiadania.

– Fajne hobby – zaakceptował.

– Dziękuję – powiedziałam chowając drobiazgi.

– *Good luck!* – rzuciłam na pożegnanie

– *You too, good luck!* – odpowiedział.

Pomachaliśmy sobie rękoma. każde z nas ruszyło żwawo w swoją stronę.

Po kilku krokach dobiegło mnie zawołanie „*Hello!*”. Odwróciłam się. Znajomy chłopak biegł do mnie. Tym razem to ja byłam zdziwiona. „Co się stało?” – myślałam.

– Mam coś dla Ciebie – oznajmił przystając obok mnie nieco zdyszany.

– Dla mnie? – spytałam zaintrygowana.

– Tak – odrzekł radośnie.

Nie mówiąc nic więcej, sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wyjął mały portfelik, a z jego zakamarków monetę.

– Jestem z Senegalii – wyjaśnił. – Salim zresztą też – dodał. – Mam dla ciebie monetę z mojego kraju. Weź ją do swojej kolekcji.

– A może to twój amulet? – próbowałam mu uświadomić, że nie chcę go pozbawiać tego, być może, cennego dla niego, namacalnego dowodu łączności z ojczyzną.

– Nie, nie – zaprzeczył żarliwie. – To dla ciebie, do kolekcji.

Wzięłam monetę do ręki i obejrzałam z dużą uwagą.

– Jest piękna i niezwykła – stwierdziłam z lekkim wzruszeniem. – Dziękuję.

Promieniał i dodał – Jeśli pojedziesz do Senegalii, napisz do mnie e-maila. Zaraz przylecę i zaproszę cię do mojej rodziny.

– Nie wiem czy się tam kiedyś wybiorę.

– Ale jeśli tak, to pamiętaj! – mówił rozentuzjzmowany.

– Tak. Dzięki! – pożegnaliśmy się uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni, jak starzy przyjaciele.

## Część druga

# Portret relacji

*Tylko człowiek nie jest fikcją,  
– wszystko inne jest fikcją.  
Cały świat może być ojczyzną  
i każdy człowiek bratem.  
Bo świat to człowiek,  
przede wszystkim człowiek.*

Andrzej Bobkowski

W podróży przez życie niezależnie od tego, czy uczestniczymy w dalekich wyprawach, długich wycieczkach, małych wypadach, czy tylko spacerujemy po naszej miejscowości, spotykamy różnych ludzi. Ogromną większość z nich mijamy milcząc, oni mijają nas i tak samotne ludzkie wyspy żeglują po oceanie czasoprzestrzeni zgodnie w wytyczonymi sobie celami, które udaje się osiągnąć lub nie. Niekiedy jednak nawiązujemy kontakt z drugą osobą, a powody tego są bardzo różne, na ogół prozaiczne: konieczność dokonania zakupu, potrzeba uzyskania informacji, rzadko chęć nawiązania kontaktu słownego. Częściej zdarza się to podczas urlopu, na wyjeździe, bo wtedy mamy więcej czasu i oprócz realizacji wyznaczonych sobie zadań, powoduje nami ciekawość **Innego**, chęć poznania jakiegoś wycinka jego świata.

To kontakt z drugim człowiekiem wywołuje wzajemne relacje. Mają one zresztą całą gamę odcieni, nie zawsze pozytywnych, które chcemy, czy nie chcemy, malują się na naszej twarzy. Najsympatyczniejsze powstają na bazie wzajemnej otwartości, życzliwości, akceptacji drugiej osoby i jej poszanowania. Ubarwiają ją radość, nić sympatii, niezwykłość spotkania, czasem – choć rzadko – wzajemna fascynacja.





























































## SPIS TREŚCI

### Część pierwsza

|   |    |
|---|----|
| <b>Spotkania z fotografią w tle</b> ..... | 3  |
| I. Sadhu .....                            | 4  |
| II. Młodzian spoglądający w bok .....     | 7  |
| III. Sikhowie .....                       | 10 |
| IV. Peruwiański Indianin .....            | 13 |
| V. Amerykanin .....                       | 16 |
| VI. Jesteś bardzo stara .....             | 19 |
| VII. Ogrodnik .....                       | 22 |
| VIII. Irina .....                         | 26 |
| IX. My little, little son .....           | 29 |
| X. Ciąg dalszy nastąpił .....             | 35 |

### Część druga

|                                 |    |
|---------------------------------|----|
| <b>Portret relacji</b> .....    | 37 |
| miejsce wykonania fotografii    |    |
| Australia .....                 | 38 |
| Kenia .....                     | 39 |
| Kenia .....                     | 40 |
| Indie .....                     | 41 |
| Australia .....                 | 42 |
| Polska .....                    | 43 |
| Sri Lanka .....                 | 44 |
| Sri Lanka .....                 | 45 |
| Wenezuela .....                 | 46 |
| Sri Lanka .....                 | 47 |
| Moroko .....                    | 48 |
| Maroko .....                    | 49 |
| Peru .....                      | 50 |
| Bahrajn .....                   | 51 |
| Peru .....                      | 52 |
| Tanzania .....                  | 53 |
| Indie .....                     | 54 |
| Kenia .....                     | 55 |
| Japonia .....                   | 56 |
| Maroko .....                    | 57 |
| Wyspy Zielonego Przylądka ..... | 58 |
| Sri Lanka .....                 | 59 |
| Japonia .....                   | 60 |
| Japonia .....                   | 61 |
| Zanzibar .....                  | 62 |
| Wyspy Zielonego Przylądka ..... | 63 |



Janina Peikert – absolwentka fizyki na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. W 2000 roku założyła w KPSW w Jeleniej Górze Karkonoski Uniwersytet Trzeciego Wieku i prowadzi go do dnia dzisiejszego.

Od kilkudziesięciu lat jest zapaloną podróżniczką. Była już w 58 krajach, na sześciu kontynentach. Fascynują ją niezwykłości rzeczy pozornie zwyczajnych i napotkani ludzie. Długoletnie zamięłowanie do fotografii przerodziło w pasję prezentacji cudowności elementów przyrody i świata. W swoim dorobku ma 22 wystawy indywidualne. Wzięła też udział w ponad 50 wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą.

Jest członkiem Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego. Oraz członkiem rzeczywistym Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej Stowarzyszenia Twórców.

*Te krótkie opowiadania to nie jedynie opis sytuacji, w jakich fotografie powstawały, ale w niektórych przypadkach wręcz fenomenalne odkrycia – właśnie odkrycia! szczególnych, niepowtarzalnych osobowości ludzkich z kulturowych kręgów tak bardzo odległych od codzienności Europejczyka. Autorka dysponuje nie tylko sztuką wnikliwej obserwacji, ale też umiejętnością kreślenia scenek rodzajowych, okraszonych szczyptą humoru, z odrobiną pobłażliwości a nawet autoironii.*

*Co więcej, to co specjaliści nazywają „przekładem intersemiotycznym” – bardziej zrozumiałe – „korespondencją sztuk” ma w tej książce modelowy przykład.*

*(Z recenzji prof. dr. hab. Henryka Gradkowskiego)*

*Uchwycenie związku z fotografowaną osobą wydaje się być jednym z najważniejszych celów które przyświecają Janinie Peikert w jej przedstawianiu ludzi. Autorka zapisuje ulotność i niepowtarzalność spotkań z osobami, które z jakichś powodów są dla niej ważne. Ta niezwykła cecha fotografii, umiejętność zamrażania chwili jest tu nie do przecenienia. Dobry fotograficzny zapis takiego kontaktu to sygnał dla wyobraźni odbiorcy. Widz powinien mieć wrażenie współobecności, by móc usłyszeć daną osobę i poczuć emocje towarzyszące temu spotkaniu. Patrząc na fotografie ludzi portretowanych przez autorkę, mamy takie właśnie odczucie. Wydaje nam się, że patrzymy na osoby, które znamy. Jest w nich jakaś bezpośredniość, budująca sympatię i sprawiająca, że stają się nam bliscy.*

*Trzeba także zauważyć, że w tych zdjęciach niczym w lustrze odbija się osobowość samej Artystki. Ona zdaje nam nie tylko relacje z egzotycznych podróży i wysmakowane artystycznie obrazy, ale mówi także o sobie. O swoim wewnętrznym systemie wartości, otwartości na ludzi i swoich marzeniach. Te fotografie także dla nas stanowią zachętę, by marzyć.*

*(Z recenzji Janiny Hobgarskiej)*